

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (56)

(fragmenty)



Jakby nie widzieli się wiele lat. Ceremonia przywitania gości przy nieprawdopodobnym hałasie płaszących muzyków trwa w holu bite półtorej godziny.

Wreszcie około dwudziestej drugiej wychodzą z lancier państwo młodzi: ona, w białej sukni, na oko dwudziestoparolatka, on – chyba po pięćdziesiątce, w garniturze, Europejczyk (prawdopodobnie Francuz).

Wtedy cała uroczystość przenosi się do sali restauracyjnej, gdzie przy półokrągłych stołach, na których palą się świece, siedzą osobno kobiety w fantazyjnych sukniach do podłogi – jedne z chustami na głowach (mężatki), inne z odkrytymi głowami (panny); osobno *mężczyźni*. Przygrywa im już inna, bardziej nowoczesna orkiestra, tęskno-ostre arabskie rytmy; goście klaszczą w dłonie. Grajkowie country pozostali chwilowo na zewnątrz. Zostaną zaproszeni do środka dopiero po „koronacji” panny młodej.

Najosobliwszy widok dla Europejczyka to białe trony. Na jednym siedzi ona w złoczonej koronie. Wchodzi czterech młodzieńców w białych szatach i bierze na ramiona tronlektykę z panną młodą.

Okładają ją kobiety, cały czas tańcząc i klaszcząc w ręce. Przy rytualnych dźwiękach, tańcach, zawodzeniach ni to żalonych, ni to radosnych, robiących niesamowite wrażenie na osobach z kultur postronnych – kolebie się tron z panną młodą na ramionach, obnoszony najpierw przez młodzieńców, a następnie przez dołączających do nich gości, okrążając wielokrotnie salę. Odprawiane są jakieś czary-mary, okadzania błogosławieństwami, muzyką, obrzucania kwiatami. Wytwarza się podniosły nastrój, że aż skóra cierpnie.

Jakby miłość osiągała swój kulminacyjny punkt nobilitacji, ukoronowania, uniesienia czy wyniesienia pod niebo ludzkiej egzystencji.

W tym czasie pan młody (choć już nie młody, bo siwy) siedzi na swoim tronie pod baldachimem naprzeciw orkiestry.

I czeka.

Wreszcie donoszą mu pannę młodą i usadawiają obok niego na tronie.

Kelnerzy biegają z różnokolorowymi sokami i kanapkami na tacach. Kieliszków z alkoholem nie widzieliśmy, podobno na arabskim, tradycyjnym weselu jest rzadkim gościem. Gra muzyka. Po północy włączają się do płasów mężczyźni, tańcząc z mężczyznami, ale nam, hotelowym gapiom, nie udaje się już tego zobaczyć, bo odrzwia restauracji zostają europejskim gapiom zatrzaśnięte przed nosem i odtąd wesele toczyć się będzie za zamkniętymi drzwiami. „KraKowiaków” na wesele się tu nie wpuszcza.

* * *

W praktyce życie Marokanki, choć może najbardziej wyzwolonej z kobiet arabskich, nie jest usłane różami i nie ma wiele wspólnego z tronem. Jakby na to nie spojrzeć, islam zakonserwował struktury feudalne i patriarchat w średniowiecznym wydaniu, o czym świadczy najlepiej statystyka – w 70 procentach ich kobiety to kury domowe – analfabetki. Co prawda te zakwefione pojawiają się najczęściej na prowincji, a w dużych miastach widać na ulicach dziewczyny i kobiety w dżinsach czy spodniach z chustami na głowach. Obyczajowy liberalizm, jak i pewna dbałość o czystość i porządek (na pewno większa niż w Egipcie i Tunezji, gdzie byłem w poprzednich latach) – wiążą się zapewne z sąsiedowaniem przez gibraltarską miedzę z Europą. Co jednak nie znaczy, że zniesiono tu wielożeństwo, jak np. w Tunezji, czy że wielce wzrosły nakłady na oświatę; pod tym względem republikańska Tunezja daleko wyprzedziła monarchistyczne Maroko; tam nowe piękne szkoły rzucają się w oczy, a były minister polskiej oświaty Roman Giertych byłby zachwycony widokiem dzieci tunezyjskich paradujących w mundurkach drogami i ulicami miast i wsi.

Maroko robi za to lepsze wrażenie pod względem budownictwa i czystości miejsc publicznych. Szosy i autostrady w znakomitym stanie. Nie widać tylu śmieci, co w innych arabskich krajach. Casablanca – czteromilionowa metropolia (przed II wojną liczyła zaledwie 20 tys. mieszkańców; to porównanie świadczy też o tutejszej eksplozji demograficznej) nie ma tak zapuszczonych przedmieść, jak na przykład egipski Kair, do którego, gdy człowiek wjeżdża, to czuje się porażony brudem slumsów i ciasnotą zakurzonych uliczek, gdzie wegetują ludzie na podobieństwo – przepraszam Cię, Allachu, za porównanie – robactwa. Przerażające widoki! Istne śmietniki za murami turystycznych kurortów. A z drugiej strony nigdzie, w żadnym arabskim kraju nie uświadczysz podobnego przepychu architektonicznego jak w Egipcie, równie bajecznych pałaców, willi, rezydencji jak ze snu. Kontrast nieprawdopodobny!

Ale wracając do Maroka i kobiet, to tu są najbardziej widoczne organizacje kobiece feministyczne walczące o równouprawnienie. Co prawda traktuje się je z lekceważeniem, ale ich żądania budzą już także – a to wymowne – poza uśmiechkiem wyższości u mężczyzn, odruchy irytacji. Żeby było śmieszniej, warto dodać, że w Egipcie, dbającym o wizerunek państwa świeckiego i cywilizowanego, pojawiła się niedawno organizacja kobieca Al Tajsir namawiająca do wielożeństwa, jako „recepty od Allacha na stabilizację społeczną i rozwiązywanie problemów” czyli, mówiąc prościej, na likwidację instytucji starych panien.

Tak czy owak po obejrzeniu Afryki arabskiej trudno się oprzeć podejrzeniu, które zapewne nasunęło się przede mną wielu osobom, że świat tradycyjnych islamskich wartości, to spisek silniejszych mężczyzn przeciw słabszym kobietom. Zmusili oni dawno, dawno temu pleć piękną do uległości, najpierw siłą, a potem przebiegłym interpretowaniem koranicznych wersetów na swoją korzyść, żeby im się wygodniej i przyjemniej żyło. I żyje im się wygodniej i przyjemniej. A kobiety pracują jak osły i muły, transportujące na wychudzonych grzbietach ciężary – wydawałoby się – nie do podźwignięcia.

A więc wojna religijna, konfrontacja Zachód-Wschód to nic innego tylko obrona samczych przywilejów i interesów? No, może przesadzam, jednak i o to z pewnością chodzi. Żeby kobiety nie podnosiły za wysoko głowy, żeby nie przejrzały za bardzo na oczy, nie zbuntowały się, bo a nuż cały świat islamskich hierarchii się zachwieje?

Amerikanizacja, ruchy emancypacyjne – wszystko to jakby uderzenie w splot słoneczny systemu, dającego królewskie miejsce na tronie rodzinnym mężczyźnie. To próba rozsądzenia islamu od patriarchalnego środka. Choć fanatyczni fundamentalści bronią też – rzecz jasna – religii przed rozmiękczeniem i niezachwianych dotąd zasad przed relatywizacją.

Tydzień później nasz przewodnik Ahmed, z pochodzenia Berber (Berberowie to pierwotni mieszkańcy Maroka i druga po Arabach nacja), z którym odbędziemy 1800-kilometrowy objazd, opowie nam o różnych obyczajach, do niedawna jeszcze obowiązujących przy procedurze zawierania związków małżeńskich. Podobno są one nadal żywe w niektórych regionach na prowincji.

Po pierwsze: jeśli mężczyzna chciał się ożenić, musiał iść do imama i określić swoje oczekiwania wobec poszukiwanej partnerki. Ten bawił się w pośrednika, wyznaczał termin spotkania, na które przychodził do domu kandydatki niedoszły narzeczony wraz z rodzicami.

cdn.

